# ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | Niedziela 12 sierpnia 1934 r. | Nr. 33

Aleksander Sendlikowski

## Zaszczute życie

Jest to bardzo ciekawa książka *). Reportaż. Właściwie kilkadziesiąt reportażów, zgrupowanych koło zasadniczego pionu. Powieść? Tak. A główną postacią, jej bohaterem nie jest pojawiający się najczęściej Anatol, ale szary człowiek, jeden spośród masy — człowiek z dołu. Gromada. Konstrukcja powieści przejrzysta i interesująca. Reportaże zgrupowane są według pewnego planu. Przechodzimy kolejno od lat dziecięcych poprzez całą gamę przesunięć ku górnej granicy człowieka. Na każdym szczeblu tej drabiny mamy szereg płaszczyzn, obrazów, kapitalnie często zarysowanych.

Książka tchnie realizmem. Ten realizm jest aż brutalny, aż czasem bijący, jak pięścią między oczy. Jest to jednak najwłaściwsze ujęcie, kojarzące formę z treścią. Lukrecja, wypięknianie życia, idealizowanie, wyszlachetnianie musiałoby tu budzić zrozumiałe obrzydzenie i niesmak. Momenty artystyczne i środki artystyczne są najzupełniej właściwe i odpowiadające celowi. Budowa, konstrukcja akcji, sądy i opinje, styl, słowo — wszystko to odznacza się jędrnością, pełnością, uderzającą prostotą. Technika szkiców ma tu swoje logiczne, właściwe uzasadnienie.

Ocena tej książki może wypaść różnie. Zdanie bowiem o niej nie będzie się kształtowało według jej realnej wartości artystycznej, jej zasięgu i bogactwa motywów, jej harmonji wewnętrznej — ale raczej wedle pewnego sprawdzianu ideowego. Każda karta książki p. Wasilewskiej drga bólem, drga życiem. Jest w tem coś groźnego a zarazem pociągającego. „Oblicze dnia" to książka z wyraźną tendencją społeczną nieukrywaną, niemaskowaną. Trzeba się orjentować według specjalnie czułej busoli, aby nie stracić orjentacji, nie zgubić się, iść za tokiem, za rzutami myśli autorki, nie wydawać sądu, rażącego swoją płytkością. Właśnie to społeczne nastawienie książki, ta otwarta bezwzględność w odtwarzaniu życia może czasami budzić zastrzeżenia, razić. Ale „Oblicze dnia" napewno na tem nie traci. Dobrze nawet, że w ujmowaniu tak drażliwego zagadnienia nie wprowadziła autorka pierwiastków komedjowo-rewjowych, nie poszła na ustępstwa dla czytelników i zrezygnowała z zamiaru łachotania w pięty i głaskania po karku zasiedziałych snobów, których rozczula nędza, słodyczą oblana, bo ułatwia godzenie się z losem, dobre trawienie, cygaro i karty, café i dancing. A przecież takich rzeczy nie można się wyrzekać dla książki! Skądże! Poco?

Nie zamierzam reformować świata, ani przybijać swoich tez o odpuście. Nie chciała zapewne, a raczej napewno, dokonać czegoś podobnego i Wasilewska. Jej intencją spewnością nie było budzenie litości, najwstrętniejszego uczucia, jakie zna człowiek. Nie wolno przeto zarzucać, że powieść nie budzi współczucia i nie porusza sumienia. Inne tu jest założenie podstawowe, które wiele tłumaczy i wiele wyjaśnia. Autorka chciała pokazać z całą prawdziwością i bez sentymentów świat, który wychowuje nienawiść, rodzi bunt i zaciętą, głuchą rozpacz, ślepą, opętaną gniewem. Chciała wykazać, usprawiedliwić świat, dla którego zamykają się wszelkie drogi i niema żadnej innej, jak tylko walki, walenia pięścią, szamotania się, łamania rzeczywistych czy urojonych krzywd, burzenia fundamentów niesprawiedliwości.

Wasilewska musiała w życiu wiele widzieć i dużo przeżyć. Napewno na życie, na głód, na nędzę nie patrzyła jako obserwatorka, rejestrująca zachodzące dokoła niej zjawiska, zapisująca je na chłodno. Nie zza szyby, nie z okna, z oddali wiązała się, łączyła myślą i sercem z tym niepokojem, kipiącą, wrzącą masą skrzywdzonych. Stąd tyle akordów serdecznych, gorących, tyle płomiennego entuzjazmu, taka szalona ostrość, takie fanatyczne przywiązanie do wielu rzeczy, o których pisze.

*) Wanda Wasilewska. Oblicze dnia Warszawa 9134. „Rój". Serja Nowa. Str. 313.

*

„Jest to raczej zlepek reportaży i reportażyków z życia robotników, zlepek najzupełniej jednostronny, nastrojony na nutę komunistycznej ulotki propagandowej, podburzającej, pod hasłem: Budujemy świat wolnych ludzi. Autorka, wyszła z założenia, że wszyscy prócz robotników i ich rodzin, to szubrawcy, krwiopijcy, wyzyskiwacze".

„Kanalje, o których mówi autorka, istnieją niewątpliwie, ale przecież nie same kanalje, jak to p. Wasilewska chce wmówić w czytelnika".

„Żaden ze spotkanych w powieści robotników nie odczuwa odrobiny radości z pracy".

„Zapewne, autorka ma prawo przedstawić obrane zagadnienie, jak zechce, wybrała tylko czarne plamy, stworzyła obraz bardzo subjektywnie jednostronny. My, czytelnicy nie lękamy się tej prawdzie, nawet tak ujętej, spojrzeć otwarcie w oczy. Oczu zamykać nie możemy ani nie chcemy, nie miałoby to też najmniejszego sensu, bo ta nędza pcha się codziennie każdemu w oczy, i my wszyscy, którzy pracujemy i zarabiamy, każdy w miarę swych możności stara się bez deklamowania biedzie tej pomóc. Dlatego właśnie mamy prawo i obowiązek zaprotestować energicznie przeciwko tak jednostronnie ujętemu obrazowi dzisiejszego społeczeństwa".

W ten sposób surowo ocenił książkę Wasilewskiej i jej tendencje na łamach „A B C literacko-artystycznego" Alfred Jesionowski („Szkoda, że nie całą...", 5 sierpnia 1934 r. Nr. 32. Rok III. Str. 1). Nie mogę podzielić tego zdania. Pozorny jej przejaskrawiony subjektywizm i jednostronność wynikają konsekwentnie z założenia całości reportażu. Pokazać świat społeczny od dołu i oczyma dołu. Ktokolwiek zna życie masy ubogiej, to życie szare, posępne — zaszczute życie, wie, że ci ludzie mają własne kategorje myślenia, aprioryczne przyjęty punkt widzenia, że wszystko, że każdy jest przeciw nim. Stąd wypadają tak fałszywe skróty, sądy najdziwaczniejsze. Ukazywanie ich, to nie jest wywrotowa propaganda, ani podburzanie. Ogół, żyjący na górze, poważny i spokojny, za mało wie, zupełnie nie zna życia dołu. I dlatego tak łatwo rozgrzesza się w sumieniu swojem, że przecież ciągle coś się daje, gdzieś się kwestuje, zbiera, pomaga biednym. I komunały: zawsze będą i byli ubodzy, tego zmienić się nie da.

Tak. Człowiek głodny i spracowany widzi na wielkich ulicach miasta przez szyby kawiarń i szyby samochodów, u wejścia kin i teatrów, w gabinecie dyrektora, w posiadaczu, w urzędniku, w księdzu, w nauczycielu — tylko świat kanalij, łotrów, szubrawców i złodziejów, tuczących się jego pracą, krwią i potem. Dla niego niema hierarchji żadnej, nie może iść na segregowanie, nie chce zrozumieć, że przecież mogą się zdarzyć i zdarzają się, ale nie są samemi kanaljami ludzie, którzy ponad nim stoją. W nędzy wszystko wydaje się inne, tam niema rozważanie, działają impulsy, instynkty. Nędza jest zbyt wielka. Doznana krzywda rzuca cień na wszystkich, nietylko na samego krzywdziciela.

Jesionowski w swej recenzji z książki Wasilewskiej podkreślił, że wszystko zionie nienawiścią, że nawet do osób obojętnych (np. zwiedzających fabrykę) ustosunkowanie jest wrogie, że zawsze pan, panicz, panienka, nauczyciel, dyrektor i t. d., budzą bez powodu wstręt i obrzydzenie u bohaterów „Oblicza dnia". Wina zawsze jest po stronie tych pierwszych, oni nie mają żadnych uczuć ludzkich, zawsze krzywdzą, poniżają, poniewierają.

Tu znów trzeba sięgnąć do założeń książki. Weźmy przykładowo: czy rady higjeniczne i uwagi wychowawcze szkoły nie muszą budzić odruchów. Każą dziecku myć zęby, chodzić czysto, spać wcześnie, na biało zasłanem łóżeczku, w wywietrzonym pokoju, gniewają się za brak zeszytu, książki, ołówka, każą płacić dziesiątki składek. A teraz pomyślmy tylko, czy dziecko nie mogąc podołać tym wskazaniom, stale karcone surowo, nie uświadamia sobie, że jest gdzieś nisko na dole, że pochodzi z innego świata, czy nie budzi się już w zaraniu życia poczucie krzywdy? Spać na łóżeczku, w wywietrzonym pokoju! Siedem, osiem osób w izbie, brudnej i dusznej. Barłóg gnijący, brak grosza na chleb. Myć zęby szczoteczką i proszkiem, koniecznie proszkiem. Ponure, prawda? Z takich zlepków właśnie, z takich okruchów zbiera się świadomość krzywdy. Brak pracy, eksmisje, redukcje, licytacje — wszystko wali się na głowę. Wasilewska w swych reportażach nie idzie za daleko. Nie jej wina, że stosunki, takie, jak rysuje, istnieją. Byłoby obłudą ukrywać je. „Walczymy o życie!" — wołają strajkujący mularze. Gną się, godzą i znoszą bez szemrania los słabsze wole, ale młodsi, silniejsi buntują się. Chcą żyć! „Bezwstydnie głodne oczy" bezrobotnego stają się złe i nienasycone, zaciskają się pięści i żołądek. Jeść! Żyć!

Świetne w książce Wasilewskiej są sceny rewizji, w lombardzie, strajku i wiele innych. Książka wzrusza. Społecznie uczy, tłumaczy, buduje, daje drogę do lepszego poznania, zrozumienia, dla wielu, co go nie znali i nie przeszli, tak egzotycznego, mimo bliskości, środowiska.

„Przelewa się świat bogactwem. Wszystkiego, wszystkiego jest dosyć. Wagonami wali się w morze pszenicę. W ogień palenisk rzuca wory kawy. Zakopu je w ziemię setki mlecznych krów. Spala w stosach stada kędzierzawych owiec. Bo wszystkiego, wszystkiego jest dość, zadużo, zanadto. Dusi się świat swojem bogactwem nażarty. syty świat. Zgaga go piecze i czkawka chwyta z nadmiaru jadła. Nadmiarem jadła czka w zapadłe oczy temu, który boso, przeświecając przez zdarte łachmany, nagiem ciałem, stoi na dole". (str. 292).

„Wszędzie skuty jest człowiek tem samem jarzmem. Misternie zazębia się ogniwo o ogniwo, pęta nieodwołalnie. Przygniata ku ziemi — by nawet nie spojrzały oczy w szeroki przestwór. Obmyślane jest wszystko do najdrobniejszych szczegółów, odmierzony każdy krok, człowieka - niewolnika". (str. 263).

Książka Wasilewskiej to kładka nad otchłanią krzywdy i nędzy. Nie most na potężnych filarach, ale kładka. Jest w tej powieści wiele rzeczy, które interesują, każą myśleć. Jest i wiele, na które nie możemy się zgodzić.

Ktoś wypowiedział zdanie: że młodość szlachetna, uczciwa, wierząca i czująca musi przejść przez rewolucję, przez bunt, by dać pełną wartość człowiekowi. Raczej tak. Takim odruchem szlachetnym jest książka „Oblicze dnia".

Wiemy dobrze, że piekło, narysowane przez autorkę, nie istnieje na księżycu, ale na ziemi. Znamy to piekło. Musi ono zniknąć. Ale inną drogą pójdziemy, niż bohater powieści — Anatol.

O książce Wasilewskiej możemy powiedzieć: jeżeli nie wszystko jest w niej przemyślane do głębi, to wszystko jest do głębi odczute. Przeczytać ją warto.

Alfred Jesionowski

## „Ambicja szamotała się..."

Po pierwszych dwudziestu stronicach ma się wrażenie, że p. Tadeusz Nowacki *) chciał dać parodję „poczytnych" autorów, więc czytelnik bawi się nienajgorzej tym pozbawionym wszelakiego sensu stylem porównań, jakich autor używa. Ale mina rzednie w miarę dalszej lektury: to ma być powieść serjo. Trzeba więc być zdecydowanym optymistą, by lekturę kończyć. A i optymiście wyrwie się wreszcie zbolały okrzyk: Cóż to za grafoman, cóż za wydawca, który wydał 452 takich stronic, dziś, kiedy niejeden uzdolniony, ba, uznany pisarz, znaleźć nie może nakładcy, doczekać się nie może wydania swego utworu.

Czegóż w tej powieści niema! Jest kilka wątków erotycznych, jest nić społeczno - polityczna, są dyskusje na wszelkie możliwe tematy, są najświeższe aktualja i wspomnienia niedawnych aktualjów (Harriman, Żyrardów, Stawiski, Hitler, Goebbels w Polsce, rozbudowa Gdyni). Są „młodzi z pałkami" i jest „upaństwowienie literatury i młodzieży", są aluzje do naszego życia politycznego i znanych w tej dziedzinie osób, jest życie towarzyskie w Warszawie i na prowincji — jednem słowem cała współczesność polska i europejska. Wszystkie zagadnienia poddaje autor mniej lub więcej obszernej krytyce. Oczywiście na to wszystko owa masa stronic ledwie starczy.

Skrzywdziłoby się jednak autora, przechodząc z lekceważącym uśmiechem do porządku dziennego nad tą nieudałą próbą stworzenia powieści ideowej. Zagadnienia, które autor porusza, należą do najbardziej palących kwestyj naszej doby. Nurtują one szczególnie młode pokolenie. Czy to będzie stosunek państwa do obywatela; pytanie, czy ingerencja państwa w tyle dziedzin codziennego życia człowieka jest wogóle uzasadniona i co ona mu daje; czy koniecznem jest, by ktoś, który niczego innego nie pragnie, jak spokojnie pracować, musiał zajmować się rozlicznemi, narzuconemi mu przez państwo sprawami. Jaka jest wartość praktyczna czy ideowa różnych faszyzmów, hitleryzmów czy komunizmu — czemu honor osobisty człowieka tak łatwo stać się może pastwą różnych hjen prasowych i innych; co jest powodem niebywale niskiego poziomu prasy i wszelkiej polemiki publicznej; co robić, by się to wszystko zmieniło... i dziesiątki innych na pozór prostych, a jednak istotnych pytań, na które trudno znaleźć zadowalającą odpowiedź. Autor nie rzuca pytań w próżnię — próbuje odpowiedzieć na nie. Odpowiedzi są naiwne, nie przemyślane dostatecznie, powierzchowne i banalne niejednokrotnie, ale zawsze wyczuwa się pragnienie autora znalezienia od powiedzi możliwie zadowalającej lub uspakajającej. Błąd autora tkwi w wielkiej mierze w tem, że na dużą część pytań wogóle niepodobna odpowiedzieć wymijająco, trzeba stanąć albo na jakiemś stanowisku naukowem albo ideowem, a nie uczuciowem, jak to ma miejsce u autora. Trzeba uczynić wybór — a uczyniwszy go, zgodzić się na nieuniknione słabe strony swego wyboru. (Subtelny znawca i badacz współczesnej literatury francuskiej, Daniel Rops, — próbował kilka lat temu również znaleźć odpowiedź na wiele dręczących dzisiejsze młode pokolenie pytań w swej ciekawej książce „Notre Inquietude" — i doszedł do wniosku, że rozwiązanie wielu tych zagadnień tkwi w rozwiązaniu „Paraboli Krzyża"). Pan Nowacki za mało ma przygotowania teoretycznego i za mało doświadczenia życiowego (co z powieści wyraźnie wynika), by rozprawiać przekonywująco na te tematy. W każdym razie strona ideowa powieści zasługuje na to, by o książce p. Nowackiego wogóle mówiono.

Wśród poruszonych przez autora zagadnień, szczególnej uwagi warta jest kwestja życia erotycznego, jedyne zresztą zagadnienie, o którem autor nietylko teoretycz nie rozprawia, ale które wcielić próbuje w postacie swej powieści. Autor ukazuje nam rozmaite formy życia erotycznego, z których najciekawszą jest forma układu pomiędzy Tadeuszem i Marją. Małżeństwo to wychodzi z założenia, że domena uczuć i domena zmysłów mogą w małżeństwie istnieć niezależnie od siebie, że małżeństwo jest pełnowartościowe, jest „formą wyższego rzędu", jeśli małżonkowie są tylko związani ze sobą uczuciem, chociażby żądzę swych zmysłów zaspakajali poza małżeństwem. Marja bywa więc objektywnym świadkiem wyczynów miłosnych swego męża na „obcym" terenie, mąż dzieli się swemi wrażeniami erotycznemi, swemi sukcesami u innych kobiet, Marja spokojnie wysłuchuje tych wynurzeń i cieszy się, że u obcych kobiet „tyle" tylko znajdzie. Kiedy wśród takich rozmów nastąpi intymne zbliżenie się obojga małżonków, jest to doznanie zmysłowe „wyższego" rzędu, miłość sublimowana, jedynie prawdziwa. Marja narazie z przysługujących jej przywilejów nie korzysta, starczy jej mąż i uczucie, że „mimo wszystko" jest wszystkiem dla niego, i jak długo Marja nie próbuje zaspakajać swoich zmysłów poza małżeństwem — wszystko jest dobrze, ale kiedy Marja po raz pierwszy mężowi opowiada swoją „przygodę", zachodzi zmiana w poglądach Tadeusza na ten rodzaj małżeństwa. Wysłuchuje wynurzeń żony nie bez przykrości, ale lojalnie, nie czyni jej żadnych wyrzutów ani przykrych uwag. W ciągu rozmyślań na ten temat uczucie przykrości staje się niezadowoleniem i ukrytą narazie zazdrością, którą wreszcie swej żonie, po innych jej „przygodach" wyznaje i gotów jest zrezygnować z szukania zaspokojenia swych zmysłów poza małżeństwem, o ile Marjaby się zgodziła na to samo. Tłumaczy żonie, że psychika mężczyzny nie jest przystosowana do liberalności pod tym względem, że obawia się komplikacyj natury towarzyskiej, gdyż żona zdradzona wzbudza najwyżej współczucie w społeczeństwie, zdradzony zaś mąż staje się przedmiotem kpin i nawet pogardy. Marja, uznając do pewnego stopnia objekcje męża, obiecuje nie afiszować się, ale ze swej swobody nie zamierza zrezygnować, uważając tę formę małżeństwa za jedynie kulturalną i uczciwą. Nie pozostaje więc Tadeuszowi nic innego, jak zrezygnować — prosi jedynie swą żonę, by mu o swych przygodach nic nie mówiła, na co się Marja z pewnym żalem zgadza... Autor nie rozwija tego stosunku dalej, polityka strusia przy zachowaniu „układu" wydaje mu się więc wyjściem zupełnie zadowalającem i ta forma małżeństwa formą „wyższego rzędu"...

Zapuszczenie firanek wydaje się autorowi w wielu wypadkach jedynem wyjściem z trudnych sytuacyj. Polemika z poglądami autora wymagałaby całej broszury lub zgoła tomu — zostawimy więc kwestję słuszności czy niesłuszności postawionych tez na boku. szczególnie wobec zupełnie widocznych niedomagań w rozumowaniu i rozwijaniu problemów przez autora, nieprzygotowanego do dyskusji zasadniczej na temat większości poruszonych przez siebie zagadnień. Nie mniej uznać trzeba szlachetną i śmiałą ambicję autora ujęcia naszej współczesności od strony jej zagadnień ideowych.

Znacznie gorzej przedstawia się jej artystyczna strona. Konstrukcja powieści jest najprostsza możliwie: kolejno, bez wewnętrznego związku ze sobą zajmuje się autor poszczególnemi po staciami swej powieści. Psychologiczne ujęcie postaci jest także uproszczone do maksimum. P. Nowacki zadawala się opisem charakteru postaci, nie ukazuje ich nam w działaniu, prowadzi je na sznurku i wszelką odpowiedzialność za ich wystąpienia, działanie, myśli — bierze na siebie. Stąd postacie te są papierowe. Stąd wypływają różne inne poważne niedomagania artystyczne: naiwne zestawienie kontrastów, upraszczanie najzawilszych sytuacyj, apodyktyczne i często niczem nieuzasadnione rozstrzyganie najbardziej skomplikowanych problemów psychicznych, przesada w ocenie zjawisk dodatnich i ujemnych. Autor stara się nie zajmować określonego stanowiska w wielu zupełnie zasadniczych kwestjach, dla wywołania wrażenia bezstronności, w rezultacie zaś jest to bezradność, wzgl. chęć dogodzenia wszystkim (liberalizm a la „Wiadomości Literackie"). Okropny jest styl: płaskie dowcipy, godne trzeciorzędnych knajp przedmieść, nieumiejętność posługiwania się obcemi wyrazami lub posługiwanie się niemi à la Staśko (symbioza z mężem — monogamizm — uczta Sympezjonu — sterylizacja kotliny z ludzi i zwierząt — misterja zam. Orgje czy poprostu świństwa i t. p.). Tragicznie wręcz wypadło obrazowanie, więc: cnota rozmięka, jak fasola w wodzie — prząść nitkę żywota na kołowrotku prawowitego małżonka — ona dopuszczała zwiększenie odległości między kolanami — dzień miał podzielony, jak śledzia na dzwonka, każde zaś dzwonko było smakowicie obłożone jakąś cebulką osobistej przyjemności — rasa klasycznych genitaljuszy — fosforyzująca gra fal — majestatyczny trzask pulmanów — podgrzane słońcem bizantyńskie szczegóły jej budowy przywracały Łucji błogi spokój — życie nie należało do zajęć przyjemnych — ambicja szamotała się jak mysz przyciśnięta klapą pułapki za ogon". Ten ostatni zwrot przyszedł mi szczególnie na myśl przy szukaniu nagłówka dla recenzji. nagłówka, któryby ujmował krótko istotę oceny. Myślę, że niedużo jest w nim przesady.

Tych parę kwiatków wyrwałem na chybił trafił, możnaby znaleźć smakowitsze kąski. Ale żart żartem: styl, od którego się niedobrze robi, który o policję krzyczy. Mdły romantyzm idzie w parze z przesadnym naturalizmem, zupełnie niezależnie od wymagań sytuacyjnych. Krótko, pod względem estetycznym nie przedstawia powieść p. Nowackiego kompletnie żadnej wartości. Autor będzie musiał solidnie popracować nad sobą, nim spróbuje wydać nową powieść. Najlepiej byłoby zabrać się ponownie do „Papierowych szyn", oczyścić powieść z niepotrzebnego gadulstwa, tchnąć życie w postacie, popracować nad stylem przez lekturę pierwszorzędnych stylistów, przestudjować słownik obcych wyrazów Arcta, studjować kwestje, które autor po amatorsku w swej powieści co traktuje.

Refleksja końcowa: Dla debiutantów dobre nastały czasy...

*) Tadeusz Nowacki: „Na papierowych szynach" Powieść. Warszawa, 1934. Str. 452. Wyd. J. Przeworskiego.

CZY NAD MORZE, CZY TEŻ W GÓRY
CHCESZ SIĘ UDAĆ NA LETNISKO,
NIE PRZERAŻA CIĘ ODLEGŁOŚĆ
SAMOLOTEM — WSZĘDZIE BLISKO!

Adolf Nowaczyński

# Rodaczki Anny Kareniny

## KONGRES - MONSTRE

Piętnastego sierpnia wielki kongres pisatieli w ZSRR. Przeszło 500 delegatów a 1.500 gości zaproszonych. To może być ciekawe, 500, 1500 razy ciekawsze od tych corocznych zganianin międzynarodowej wszechnarodowej czeladzi i służby literackiej, na których wygłupiają się łase na gloire solisty stare nie chcące za żadną cenę zejść z afiszów popularności czy sławy. Wells tym razem na tym kongresie nie będzie, gdyż już bawił w Sowietach i miał nawet ze „Sorą" trzechgodzinną konferencję. Sporo lat temu, gdy był pierwszy raz djalogował ze samym Leninem, teraz ze samym Stalinem. Ciekawe, czy do żyje jeszcze Trzeciego, nieomylnego i Świętego i czy też przyjedzie i czy to już będzie po drugiej wojnie rosyjsko - japońskiej?

## AFERA Z GORKIM

Obradujący coram publico w liczbie pięciu setek pisarze sowieccy będą mieli kilka ciężkich orzechów do zgryzienia, a potem kilka mocnych węzłów gordyjskich do przecięcia. Najpierw afera z Gorkim. Stary zasuszony, ale czerstwy ftyzyk Pieszkow zrugał sobie pewnego dnia całą omal literautrę, nasromasłowił i nasobaczył im co się wlezie. W liście otwartym do jednego z młodszych wygarnął im wszystko, co mu naplotkowali inni, a to, że alkoholicy, a to, że megalomany i samodury, a to, że chuligany no i nieco sodomity. Życie prowadzą nad stan i gorszące. W Nacjonalu osobne stoliki sztamgastowskie trzymają i doński szampoing chleją. Na dancingach też pełno tańczących ich widziano, a nawet elegantują się, w żółtych półbucikach, flanelowe garnitury, koszule zefirowe i zgorszenie z tego wielkie. Za dużo zarabiają, więc burżujskich apetytów nabierają, no i hedonizm, używantes, ułatwione życie jako ta ostatnia swołocz co dalej być tak nie może.

Sam schorowany doszczętnie, kiszki skręcone ma, na kaszce Nestla i mleczku sterylizowanem się chowa, z kurami równo spać idzie i na bezsenność cierpi, więc go szewska pasja na młodych i zdrowych porywa i wtedy Mojżesza z góry Synai odstawia i grzmi i ryczy na Gomorczyków. Ten i ów z ciężko zwymyślanych (imiennie) upokorzył się, ukoił i do Starego list otwarty napisał i nadrukował, że poprawę obiecuje. kawioru kilami żreć nie będzie, ani szampanem popijać, ani z przystojnymi manekinami po kinach się głaskać, a potem po hotelowych pokojach się gzić i sprosności wyczyniać. Ale inni postawili się sztorcem i grożą rewanżem. Że nic im nie imponuje Stárik i jego legenda, że sam był sybarytą i „indywidualistą", na Capri sobie latami wygodnie i wspaniale mieszkał wtedy, kiedy oni latmi głodowali. A teraz stary, co książkę wyda, to stęchła siero-szewska makulatura i w piekarniach tem palić, więc z tego zły i naburmuszony Jeremiasza parzy. A chyba nie zna najnowszych haseł i łozungów samego Stalina? „wzmożona konsumcja wewnętrzna", niech każdy żyje, jak najweselej! Szukasz szczęścia, wstąp na chwilę do każdej knajpki, jaka jest na rogu: pół butelki oczyszczonej 6 rubli. Obiecują tedy niektórzy młodzi, że się ze starym razputinem rozprawią i jemu coś do słuchu wypowiedzą. Uwidim skazał slepoj a uwierzył, ktoby umierzył.

## SPRAWA TŁUMACZEŃ

Druga na Kongres z questiones quae pendent (jak mówił Sforka intendent) to sprawa tych tłumaczeń z obcych literatur. Dawniej się tłumaczyło za wiele a teraz za mało, a zawsze bez wyboru bez planu, bez programmy i bez selekcji. Co komu do rąk popadnie, roztrzyga przypadek. Tous comme chez nous i w Jugosławji i w Judosławji. Stary Szkłowskij stale lamentuje, że za mały kontakt z Okcydentem, wskutek czego domowa produkcja zaczyna być cholernie szara, jałowa i nudna, jak flaki z olejem. Na tą samą nutę w Petrogradzie Michajł Słonimskij: nie umieją odróżnić Prousta od Joyce'a i viceversa. A inni krytycy także: cały szereg autorów całkowicie przeoczonych i nietłumaczonych. Tylko A. Gide jeden co w ostatnich czasach stał się bardzo popularny i czytany po fabrykach i kołchozach (sic). Czy rozumiany to druga sprawą i insza inszość. Ale czytany i żarliwie obdyskutowywany. Szczególnie się podobała Gide'owska podróż po Belgijskiem Kongu i obsztorcowanie Europejczyków uczących brzydkich sposobów dziewięcioletnie murzynki, a batożących do krwi (markiż Sade) starych murzynów; zaczem: Krzyczcie Kolonje! (Tytuł nowej symfonji Judina!).

Z temi tłumaczeniami tedy trzeba porządek jakiś zrobić. Naród dostaje na ten przykład „Manon Lescaut" w ślicznem tłumaczeniu (Perłowskiego), przecudowne drzeworyty. luksusowa edycja. Więc kupują to do wszystkich bilbjotek ludowych i czyta Grisza i czyta Misza, ale nie bardzo kapuje w czem rzecz i poco to takie, no a potem bardzo zabrudzone egzemplarze oddają, bo ręce jeszcze nie bardzo skrupulatnie domywane (po mydło w ogonkach).

Albo naprzykład z tą „Pieśnią Rolanda". Wspaniałe wydanie („Akademji"), bibljoteki wszystkie kupują musowo, więc czyta Wańka i czyta Wstańka, ale ziewają przytem aż szczęki bolą, bo właściwie w czem rzecz, no i kogo? Kogo to obchodzi? Jeszcze Romain Rolland no to możliwe. Komunistyczny autor jest, na Kudaszewie księżnej komunistce na stare lata (zdrowej chłopce) przyżenił się regeneracyjnie, no to więc jeszcze można, ujdzie. Ale „Chanson Rolanda" dla sowchozów i kołchozów, kiedy nafty i soli wszędzie zabrakło, a po blaszany nowy rondel trzeba czasem 50 wiorst iść piechotą do trzeciego miasteczka powiatowego? Istne kpiny i temat dla Kolcowa, a może Zoszczenki?

## WIELKI BAŁAGAN

Co do planowej organizacji tłumaczeń z obcych języków musi tedy kongres 15-tego sierpnia powziąć jakieś rezolucje, gdyż bałagan z tem jest wielki i bardzo często do jakiejś oddalonej obłasti mongolskiej przychodzi dla nauczycielki kuferek książek dla mongołów, a w kuferku: Prousta komplet. Valerego komplet, Lawrence'a komplet, tłumaczenia Mirlambów Herondasa, aforyzmy La roche'a (Fouculda) z inicjałami i rysunkami Miłaszewskiej (sic), nadto „Also Sprach Zara... Toustra" (na welinie). Ale co z tego za pożytek dla Tadżików (sic), lub dla młodych Ajnosów, skoro woleliby transport: sody, rycynusu, gwoździ, cukru, czekolady, butów i gatek?

Otóż ten dobór tłumaczeń musi kongres literatów Sierpniowy jakoś uregulować i dojść z tem do ładu i składu. Niejaki bowiem Stendhal (Beyle) francuski klasyk nie wszędzie bywa na swojem miejscu. Piękną i wytworną nowelę z życia tego pisarza napisał A. Winogradow („Zagubiona rękawiczka"). Ale czy nie tkwi coś paradoksalnego a może nawet zabawnego w tem, że nagle ni z tędy ni zowędy „Rouge et Noir" nagle ogromnie stało się popularne w... Swierdłowsku... a komsomołka Wieroczka siedząc na ławce z komsomolcem Jegorowem i gryząc „siemiaczki" żarliwie rozprawiają o „Chartreuse de Parma" lub „Voyage en Italie"...?

No a Merimée? A Merimée? Czyż mógł się kiedyś spodziewać szambelan Eugenji, że będzie popularnym donem nad rzeką Donem? Czyż Prosper naprawdę zasłużył na włączenie go do klasyków bolszewickich? Czyż „Carmen" jest naprawdę nowelą skroś komunistyczną, a don Jose udarnikiem i czy niema coś groteskowego w dwumiesięcznej polemice dwóch naczelnych recenzentów w mieście Swierdłowsku (Kahanowa a Pieredonowskiego) na temat czy w jednej z nowel Prosper Merimée przewidział jasnowidząco zwycięstwo Piatiletki czy nie przewidział, skoro wyraźnie opisuje urok pięcioletniej dziewczynki z imienia Susanne?...

Otóż aby uniknąć takich i tym podobnych nieporozumień, paradoksów, grotesek kulturalnych (zabawnych) w res-publica-litterarum Związku Radzieckich Republik, trzeba będzie na tym kongresie uregulować także sprawę tłumaczeń utworów krasopisarstwa nadobnego. W miasteczku zaś poniektórem, w którem dzięki jakiejś dzielnej apostołce-nauczycielce z Moskwy zaczyna się moda na Remy de Gourmonta, dobrzeby było przedtem jednak wybudować jakieś dwa wielkie closedy publiczne. Gremjalne bowiem (po staremu) załatwianie się ludności w miejskim sądzie (imienia Joffego) jednak nieco nie „synchronizuje" z rozczytywaniem się w memuarach markiza de Sade, czy w listach pani de Sevigne..., jakie uprawia tamtejsza inteligencka młódź komsomolska.

## LA FEMME

W związku (coprawda zgoła luźnym) z tąże wyż wspomnianą panią de Sevigne, ostatnio bardzo cytowaną w elicie (wierchuszce) żeńskiej zespołu inżynierów i majstrów Dnieprostrojskiego Kombinatu stoi też trzeci ważny punkt programu obrad Literackiego Kongresu dnia 15 sierpnia się zbierającego, t. j. kobieta jako autorka i kobieta jako bohaterka. względnie jako wogóle postać, figurująca w utworach literackich Z. S. R. R.

W tej dziedzinie materjał dyskusyjny jest tak obfity i bogaty, że obrady kongresu w związku z nim mogą się przeciągnąć aż do późnego września lub nawet octiabra. Żenszczyna! La Femme. Donna mobile! Sfinks pospolity i niepospolity. Nowa wspaniała galerja wizerunków i indywidualności.

Zacząć się godzi od żony i siostry, od Krupskiej i Uljanowej, najbliższych Leninowi, pamiętnikami hołd zmarłemu piękny składających. Obie kobiety moralnie trzeba wyznać (poważniejąc przy pisaniu) najwyższej ludzkiej rangi. Tłumaczenie na polski ze wszechmiar godne, przyczem tendencje i doktryny przedmowami odkazić można.

Potem idzie dziwna para: Angelica Bałabanowa i Aleksandra Kołłątaj. Pierwsza, rasowo odmienna, była socjalistyczną mamką Mussoliniego. pracowała z nim w jednej redakcji przy dwóch biurkach, poczem nastąpiło zerwanie z trzaskiem, a jurny bogobórca wpadł w objęcia drugiej z rzędu Dalili czy Judyty, pięknej Margeritty Sarfatti, za co srogim grubotomowym paszkwilem przez opuszczoną mefistofeliczną Angelikę pokaran.

La Belle Kołłontay rozpoczęła erę „rui i porubstwa" propagując wolną miłość co się zowie (nowela: „Miłość Trzech Pokoleń") „ułatwione życie" gdzieniebądź popadło, i tak zwaną „szklankę wody" „na stojąco", czyli uproszczone funkcje fizjologiczne bez żadnych ceregieli, bez żadnej odpowiedzialności, możliwie bez następstw, każdy z każdą, wszystkie ze wszystkimi, regulacją urodzin, przerywaną ciążę, wyżycie się na całego, cf-akt płciowy „bez czeremchy".

„Czeremcha" to symbol. „Bez Czeremchy' 'to tytuł powieści T. Romanowa, romans studenta ze studentką, w którym dziewczyna (z przebudzeniem się wiosny) przychodzi rozmarzona do swego ideału z gałązką pachnącej czeremchy, a student Boy-owiec Kołłątaizmu odrazu: Kładź się!... bez czeremchy się obejdzie!... Szklanka wody... Biologiczna funkcja. Wystarczy.

## RZĄD DUSZ KOŁŁONTAJOWEJ

Taki „rząd dusz" Kołłontajowej Vulgivagi trwał kilka lat. Totalna zoologja. Szło to i na Europę, bo równocześnie i ze zbydlęconej, doslownie chamskiej Ameryki. U bolszewików szło to z principjów nowej religji, nowego Zakonu. Literatura w awangardzie superseksualizmu i wyżycia się pełnego aż do pierwszej wizyty Monny Tabes. Kilka talentów przypłaciło samobójczem finale ten boyszewizm Kołłątajowski. Biedny Jesienin wpadł już nie w „szklankę wody", ale w cały basen. Nietylko życie rodzinne, ale życie socjalne i partyjne zaczęło się całkiem rozluźniać. Sowieckie miasta zmieniły się wówczas w dżungle, w których czerwone, kosmate Tarzany porywały białe rodaczki Onieginowskiej, delikatnej Tatjany na gałęzie i nagwałciwszy do syta, rzucały potem z góry, jak orzechy kokosowe. Wreszcie dostrzegł to czem innem stale zajęty Uljanow. I jako bądzcobądź surowy etyk, a człowiek omal purytański, porwany gniewem palnał pięścią w stół, aż odpowiedziało echem w Uralu. Dość szklanki wody, przeklęta swołocz! I wtedy to zaistniał Jowiszowy list do staruszki Klary Eissner („Zetkin") i groźne: quos ego!

Jak się odbywała następna wielka przemiana ówczesnego emporium Astarty w dzisiejsze państwo, zdążające wyraźnie do purytanizmu obyczajowego, to o tem jest kilka książek, a nawet niektóre tłumaczone. Najnowsza, świeżutka Angielki Cecily Hamilton: „Modern Russia"; skroś burżujska snobka objektywnie wychwala co podniesienia w światło godne. W zestawieniu z dzisiejszym Paryżem i jego „literaturą", Moskwa w dziedzinie seksualnej obyczajowości, to wzór...

Prof. Niemiłow: „Biologiczna tragedja kobiety" (tłumaczone).

Dr. Fammina Halle „....". Przetłumaczone... Wydał oczywiście Fruchtman, bo nikt inny nie raczył się pokwapić. Nie będzie się podaniem tytułu robiło jeszcze reklamy, ale każdy kto się rodaczkami Anny Kareniny interesuje, to właśnie głównie poznać powinien.

Od strony emigracji rosyjskiej, problem kobiety w Sowietach i seksualną obyczajowość nowego gatunku ludzi oświetlają oczywiście więcej negatywnie dwie Rosjanki. A. J. Wojnowa po pierwszej powieści „Samocwiety" („Fałszywe Kamienie"), daje drugą powieść, po niemiecku p. t. „Wschód i Zachód". Krytykowanie w czambuł. nieco filisterskie a nieco kołtuńskie i raczej jako lektura rozrywkowa w badach, dla kontrpropagandy użyteczne.

W Wiedniu przemieszkuje uciekinierka z Uralu Alja Rachmanowa. Jej „Trylogja" w formie pamiętnika od dni rewolucji w octiobrze aż po dziś dzień w środkowym tomie („Małżeństwa podczas burzy") cieszą się specjalnem poparciem niemieckiego obozu katolickiego.

## CZAROWNE CURIOSUM

O ile atoli darować sobie można te rewelacje o doli i niedoli, blaskach i cieniach, zenitach i nadirach rodaczek Anny Kareniny podczas i po rewolucji, o tyle jak najszybciej przyswoić i natychmiast uprzystępnić naszej publiczności (Rój! Rój!) czarowne curiosum, które już jest w edycji Plona i w Warszawie. Jest to pamiętnik niebywałych przygód Marji Boczkarewej pod tytułem Yasha, Ma Vie de Soldat..." Opowiada o sobie ta dziewczyna wiejska, co to w roku 1914 wstąpiła do wojska rosyjskiego dobrowolnie i zorganizowała słynny kobiecy „Bataljon Śmierci". Było ich ponad 2 tysiące. Raz odwiedziła i Warszawę. Podczas rewolucji bataljon zdziesiątkowany, przeszedł do czerwonych i zdemoralizował się „na markietanki", mówiąc delikatnie. Jaśka dostała się do bolszewickiej niewoli, z której uciekła do Ameryki. Jak, gdzie i co i z kim, to wszystko w książce.

Mogliby tak na kongresie sierpniowym ci zbesztani przez Gorkiego za zniewieściałość literaci przeczytać na głos jeden z heroicznych rozdziałów życia Marji Boczkarewej z linji i z rodziny duchowej... Baszkircewych.

## WSZYSCY ŁŻĄ

A jak tam kobietom jest teraz w tym „Nowym Świecie"?

Dużo i długoby o tem mówić, bo jest wiele świadectw, zeznań, dokumentów, książek, artykułów, korespondencyj i pro i contra... Każdy medal ma dwa boki i oba odwrotne. Od nas patrzeć na niebo, to wszystko niebiesko; stratosfernik, który się zbliża do nieba, rozpowiada potem, że wszystko tam czarne.

Podobnie braciszku i z tymi Sowietami przeklętymi! Właściwie chyba wszyscy łżą i ci co chwalą, i ci co nie byli. Jak się tu wyznać w tym lesie? Jezuita ksiądz Betler cztery razy był i opowiada, że już tam jakby nowe burżujstwo narosło, w jedwabnych pończochach damy a i niedamy z elity (wierchuszki) wybrylancone w lożach, a opery i balety po staremu całkiem, że palce lizać z koryfejkami zapoznawszy się przy okazji. Jedni, że drogo, inni, że tanio, a wszyscy, że brud na a o „jeść" trudno. In puncto: żenszczyna (la femme) czytasz bracie u sympatyzującej z Sowietarchią pani dr. Femmina Halle:

„Kobiety zdobyły sobie w Rosji wszelkie prawa, ale pozbawione zostały najważniejszego przyrodzonego swego prawa, prawa do kobiecosci. Zaledwie rozkwitają, a już są uważane za skończone".

A znowu gdzieindziej p. Olechnowicz, Białorusin, w Sowietach nasiedział się a po powrocie rozpowiada co widział:

„Trzeba poznać całą gehennę ludzi skazanych, całą deprawację, demoralizację i głód, ażeby w pełni pojąć źródła prostytucji, szerzącej się na Sołowkach. — Ilość kobiet na Sołowkach, wynosi od 17 do procent. Są między niemi, stare, siwe, zgarbiałe, zniszczone fizycznie. Tym można wierzyć, bo te są najuczciwsze. Wszystkie inne ulegają w szybkim czasie deprawacji. Zasadniczo są odseparowane. Kobiety mieszkają oddzielnie i mężczyźni odzielnie. Spotykają się jednak podczas pracy, w kancelarjach i t. d. Kobiety myją i sprzątają instytucje, w których pracują mężczyzni. Wszelki bliższy stosunek jest surowo karany, tem niemniej prostytucja szerzy się i przybiera rozmiary zastraszające".

Powieści i dramaty, utwory czystej sztuki, znaczy się „artyzma" (jak to inteligencja mówi) do ręki bierzesz, także i tu rozmaicie znajdujesz i na czarno i na biało.

## TAJEMNICA TRZECH LITER

W kongresie 15-go sierpnia rzecz prosta Maria Szaginian udział brać musi, jakoże literacka wielka szyszka. Obok Sejfuliny, Olgi Forszt trzecia liczność. Sam „G-ichl" ją wydaje, znaczy się urzędowe, praworządne wydawnictwo. Poznać to zaraz, bo pełna optymistka jest i wszystko chwali madame Marietta. I teraz nową powieść dała z dedykacją: „Siedemnastemu Zjazdowi Partji Komunistycznej" Powieść tytuł nosi „Tajemnica trzech liter". Ktoby myślał B.O.N. Inny może: D.O.N.? A to nie to, tylko M. T. S. (Maszyno-Traktorna-Stacja), no i opis jak Marietta w Odesie była, i jak okropnie się cieszy, że tyle dookoła traktorowych stacji i jak to składnie idzie stroitielstwo i budowa, i jak to kołchozników prachwostów trzeba pilnować, i jak to w Związku R. R. wszyscy ludzie kontenci i szczęśliwi, i co to za radości wyzwolona kobieta przeżywa etc. i t. p. I takiesamo uczucie szczęśliwości doczesnej rozpiera piersi innej znów osoby, która w przerobionym z powieści dramacie J. Germana („Ustuplenje") z podłej, kapitalistycznej obczyzny wraca na świętą sowiecką Ruś mlekiem i miodem płynącą (w reżyserji Majerhoida).

Pozornie tedy sądzącym już, już się wydaje: a toż się wszystkim tam dobrze wiedzie, a już wyzwolonej kobiecie żyć i nie umierać. German świadkiem, Marietta świadkiem.

A tu tymczasem Toska! Jaka znów Toska? Wiadoma rzecz, że wystawiają Pucciniego Toskę tak wspaniale, jak nigdzie na świecie. O tem mowa? Nigdy w świecie. Toska! znaczy się Taska! stara Taska... Sygnalizują stamtąd z Moskwy, w recenzjach! Stara Toska znaczy się handra, znaczy się Weltszmerckatzenjammerohneende znów zaczyna wracać. Duch, wzduch, spiritus znaczy się alkohol czyli wódka oczyszczona i właściwie państwowa, znowu jak za caratu była zawsze i przez te lat 15 i nie opuszczała i w filmach, i w dramatach, i powieściach flacha z wódą po dawnemu, jak stała tak stoi. I w „Turbinie" (nr. 55), i w sztuce o rodzinie Turbinych. Zawsze! Ale Toska, szczera, właściwa, stepowa, Wołgowa Toska dopiero teraz, odrazu mocno. Już w małych dozach bywała, ale w wielkiej porcji dopiero teraz.

## TICHONOW

Tichonow wielka szyszka literacka! Na zjeździe 15-go pewnie głos zabierze. Niechże się usprawiedliwi skąd ją wziął dla swego „Dnia Odpoczynku"? Może to już wpływ tej świni paryskiej, tego gnojarza Celine'a, żuka kopiącego czy kąpiącego się w guanie, a teraz przez rodaczkę Anny Kareniny (Elzę Triolet) przyswojonego ruszczyźnie z przedmową, że to spectrum zdechającego kapitalizmu. Niechże Tichonow na kongresie opowie skąd wziął ten swój piccolo mondo? Obiecywali, że tam będzie taki raj, no a to chyba nie raj, to milieu Katji, Oli i Szurki? I to ma być elita świata pracy? Takie zgniluchy, desperaty, pijaczyska „djabły lakierowane", dekadenty, to intelektualna awangarda zdrowego proletarjatu? A toż to takie same „miałkie biesy" jak bywali w burżu-Azji i dniamuszki i pośmieciuchy i naplewajki, a w głowach fuzel i karuzel. Gdzież tu jest radość i rozkosz pracy i religja, wiara pracy u tych „wykwalifikowanych", ale w melancholji i w desperacji? To tak wyglądać ma świat jutra i świt jutra jak w „Dniu Odpoczynku" towarzysza Tichonowa? Czemże się różni w nastroju dusz „Dzień Odpoczynku" od nocy w powieściach Dostojewskiego? A i wamp także jest jak zresztą i w ostatniej powieści Katajewa, gdzie się wabi Tatjana Ganzholder, taki sam wamp, taka sama Szurka, a nieco suczka, jak w zdegenerowanych kapitalistycznych bandach. I o samobójstwie, jako jedynem wyjściu i ratunku z odrażającego życia osoby paplają i gwarzą. Gdzież to zdrowie moralne, gdzież ta krzepa u tych „metalówek", „tokarek", inżynierek, ekonomistek, wyzwolonych kobiet w peniuarach jedwabnych z japońskiemi pticami? No i ściąganie obrusów też jest i naplewat na wsio, no i nuda sakramencka toże.

Na gwałt to trzeba tłumaczyć póki czas! I kolportować na wszystkie strony i boki. Tichonow dobrze się przysłużył Europie. Dał satyrę na Sowiety, jakiejby się żaden burżujski pismak nie poważył. Prawdziwy wizerunek i spectrum. Ciekawa rzecz czy to czytał dyktator? A starik Gorkij czy to miał w ręce? I co o tem piszą krytyki (Aryсparchy)? Czy przyjedzie na kongres Tichonow? I skąd u niego ta Toska? I czy Japonce o tem już wiedzą? Jeżeli takie są szczyty, to jak w dolach? No i czy nie przesadził w negacji gaspadin Tichonow? Na kongresie powinien głos zabrać! To poto są rewolucje, żeby wszystko na nowo i taksamo?

SKŁADAJCIE OFIARY NA POWODZIAN

Tytus Czyżewski

# Lajkonik

Była to godzina piąta popołudniu
Właśnie wytrąbiono hejnał
Z wieży Marjackiej.
Muzyka hejnału — powódź trąb
Płynęła wszędzie
Szklanki, filiżanki z niedopitą
Kawą i herbatą
W kawiarni w Sukiennicach.
Kwiaty w garnkach kwiaciarek
Ustawione rzędem na bruku
Lewkonje, lilje, goździki
Pełne były muzyki hejnału.
Nad Rynkiem, nad Sukiennicami
Wzleciały dwie w białych sukniach
Anielice
Jak wiatr letni — szumią ich skrzydła
A żniwiarz wypoczywa pod drzewem
Żniwiarz ludzkich myśli
I serc — poeta.
Gdy hejnał ustał — dzwony
Ci przyjaciele ludzi smutnych
Odezwały się we wszystkich
Kościołach:
Jak ze stacji nadawczej radja
Bum bam — bum bam,
Wszystkie myśli wtedy skłębiły się u ludzi
Którzy byli w rynku
Myśli wtedy latały po Rynku
Jak ptaki — jak białe
Płatki kwiatów — jak gołębie
Biali aniołowie ptaków.
W ulicy Franciszkańskiej
Naprzeciwko różowego kościoła
Franciszkanów,
Tłum się zbiera szary, krakowski
Pulsujący krwią fontanny
Serca spacerują po bruku
Rozbrzęczone
Kwiaty.
To jarmark pszczół na kwiatach
Nad kościołem w nieba głębię
Wzleciało stado gołębi.
Nad wawelskie baszty krwawe
Wzleciało stado kawek.
A tymczasem:
Od Dębnika od Powiśla
Od Półwsia Zwierzyńca
Biegnie jeden za drugim
Lajkonika poseł
Każdy ubrany w dziwaczny strój
Ni to Tatar — ni to Turek
XV-tego stulecia.
Turban z kitą — niebieska bluza
I czerwone szarawary
Niektórzy mają też skrzydła
Białe lub purpurowe
Nadlatują z chmur
Razem z motylami
Jak żółto - czerwone motyle.
Są to posłowie tatarskiego hana
Ze zwierzyńca pana
Lajkonika
Tłum: krzyczy, uwija się,
Jest to wąż centkowany
Syczy
Ślizga się w ulice:
Studenci, przekupnie, fjakrzy,
(z końmi, które mają łby w workach),
Urzędnicy, radcowie i krakowskie andry,
Pchają się, tłoczą i krzyczą.

POSEŁ I-SZY:
Ludzie wszelkiego stanu,
Panowie, radcowie, robotnicy
I wy szanowne przekupki,
Zgromadźcie się tutaj w koło
Powiem wam coś wesołego:
Jestem posłem Laj - konia wielkiego
TŁUM ROBOTNIKÓW:
Hy, hy, hy.
POSEŁ II-GI:
Nasz pan Lajkoń wielki
Dosiada właśnie konia
Tak zwanego Pegaza
Pół konia, pół płaza
Pół robaka, pół ptaka.
TŁUM PRZEKUPEK:
Hi, hi, hi.
POSEŁ III-CI:
Pan nasz koń — Laju
Pokazał się już we Zwierzyńcu kraju,
Gdzie jest szynk polsko - żydowsko - niemiecki,
Tam musi zreparować sobie
Podpinki i uzdeczki.
TŁUM FJAKRÓW:
Hu, hu, hu.
POSEŁ IV-TY:
Pan nasz Lajkonik,
Jakby wsiadł na sto koni
Będzie tu ze swą zgrają
Zanim hejnał na wieży zagrają.
TŁUM STUDENTÓW:
He, he, he.
TŁUM PRZEKUPEK:
Coraz więcej szumi pszczół na ulu
Raduj się moja babulu.
RADCOWIE:
Czy słyszycie muzykę, idzie,
Jakby od Zwierzyńca,
Jakby od Tyńca...
STUDENCI:
Najlepiej słychać basy,
Są jak brzuch głodnego,
Gdy się go dotkniesz ręką
Zahuczy skocznego.
FJAKRZY:
I słychać rżenie konia
Koński śmiech radosny,
To jak ta moja siwka,
Kiedy rży do owsa.
URZĘDNICY:
Nasze binokle widzą
Orszak się tu zbliża
I sunie Zwierzyniecką
Jak kot do talerza.

A tymczasem:
Wielka banda,
Jest to Wisła spieniona i złota...
Najprzód jedzie koniuszy,
Ma tarczę ze złota.
Za nim dążą pachołki,
Trutnie wyśmienite,
Wielkie ich głowy owite w turbany
Czerwienią się te głogi
Aż pod świątyń progi
Środkiem się uwija
Na półkoniu — z kija
Na dziane cie Pegazie
(wypchanym sierścią krowią)
Obwołany Zwierzyńca
Wielki wałkoń
Król Lajkoń.
(Widząc to obydwie wieże marjackie
Przegięły się ku sobie —)
Mimo hałasu dzwonów
Mimo szumu chmur
Pomimo stad gołębich
Co kijankami skrzydeł
Biją powietrze
Dwie wieże rozmawiają:

NIŻSZA WIEŻA:
Uważasz jak się cieszą
Te krakowskie łyki.
WYŻSZA WIEŻA:
Uważasz jak z radości




Kieckami szeleszczą podwiki.
NIŻSZA WIEŻA:
Uważasz jak się puszy
Ten plugawy Tatar.
WYŻSZA WIEŻA:
Jak się zeźlę to trzepnę
Koroną złoconą
Tego pohańca, że wszystkie gwiazdy
Zobaczy razem z księżyca oponą.
NIŻSZA WIEŻA:
Zobaczysz że z kościoła,
Z ciemnej zimniej klasztoru
Wyjdzie do niego Franciszek
Ów święty kwiatek i mniszek
I ten go nauczy,
Że nie wolno pohańcom
Po mieście się włóczyć.

(A muzyka gra — a muzyka gra
Tłum huczy, tłum krzyczy
I Lajkoniowi 100 wiwatów życzy).
Przed kościołem Franciszkanów
Stanął Lajkonik potężny
Na wielkim złotym turbanie
I z buławą w ręce
Rozdaje, ciosy buławą na prawo, na lewo.
Krzyczą, hihoczą panienki —
A kawalerowie
Dworscy i dowcipni w słowie
Przedrzeźniają dyszkant cienki
I targają za sukienki
A LAJKONIK
Potrząsa wielką na turbanie kitą
Która rzęsi deszczem złota
I konia złotemi uzdy
Wstrzymuje i buzdy-
ganem — jak girlandą z djamentów

Rzuca nad domy ku niebu —
I dębową twarz usępił,
Wielkiemi wąsami rusza,
Tym buńczukiem czarnej kiści
I gwiazdami oczu błyszczy
LAJKONIK:
Hej ludzie co tu jesteście
Pomnijcie na mą potęgę
Ja władam królestwem szynków
I mam głęboką gębę,
Która jak Wisła pod Gdańskiem
Chleje i wódkę chłopską
I wineczko pańskie...
A teraz z moją gwardją
Jadę pohulać na Rynek
I księciu Biskupowi się skłonić
I u Hawełki popaszę konie,
Pokłonię się wieżycom,
Marjackim siostrzycom.
OBIE MARJACKIE WIEŻE:
(kłaniają się)
Chodźże tu miły hanie,
Ty polsko - mongolski chamie
To sprawimy ci lanie
Że Cię na twoim Zwierzyńcu
Andry nie poznają
Chodźże tu z całą zgrają

Gdy wtem:
Wielkie drzwi kute

Kościoła się otwierają
Jak dwa
Skrzydła orła
Albo jak dwa wielkie
Pręgowane skrzydła motyla
Który do słońca się rozchyla
Staje w nich gromada mnichów
Z zapalonemi gromnicami,
Z kolorowemi latarniami
A na przedzie
Ubogi święty w połatanej sukni.
Boso,
Opasany grubym sznurem
Wężem szarym
Który wkoło piersi się zwija
Zygzakowata żmija
I rusza pętlicą
Sercowatą głowicą
Święty ma też na ramionach
Kilka małych ptaków
Jaskółek, czyżyków, dzwońców biedaków
Do jego ramion przypadli
Do dobrej świętej ptaszkarni
Każdy ptak się doń garnie.

JASKÓŁKI:
Święty ojcze Franciszku
Czy możemy siąść na brzeżku
Twojej łysej głowiny?
CZYŻYKI:
Czy możemy szukać po Twoich kieszeniach,
Może tam znajdziemy
Parę ziarnek siemienia?
ŚWIĘTY FRANCISZEK:
Latajcie, szukajcie, karmcie się do syta
Tylko nie poplamcie mojego habitu,

Bo już się śmieją mnichy - bufony,
Że chodzę jak dzierlatka opszczony.

(Tak rozmawia z ptakami
Ubogi Franciszek —
A tymczasem tłum ludzi
Ogarnęła cisza.
Niektórzy poklękali, modlą się
Ogniście,
W ciszy
Brzęczą latając muchy,
Drzew szeleszczą liście.

ŚWIĘTY FRANCISZEK:
Hej, Panie Lajkoń, drogi,
Ty miłe zwierzątko
Zbliż się, opowiedz twą historję
Biedną.
Czemu gonisz po mieście
I potrącasz ludzi?!
Przepędzasz moje ptaki
Czynisz hałasu tyle,
Że nawet uciekają
Z ogrodów motyle...
. . . . .
Lajkonik się zbliża
Zniża grzywę
Przyklęka,
Hołd świętemu oddaje,
Turban zdejmuje,
Trzyma w rękach
Kłania się i kłania
Z drania
Zrobił się grzeczny, miły,
Wszystkie zbereźności
Raptem go opuściły

LAJKONIK:
O, święty cynamonowy,
Dobry staruszku,
Nie broń mi pobaraszko-
wać trochę około Sukiennic,
Pozwól się rozweselić, —
Trochę ludziom!
Patrz jak tam zza okiennic
Panienki spoglądają,
Rychło tańczyć będą,
Jak w pozytywce figurki
Złocone —
Wszakże i ptaszkowi nie bronisz
Gdy za motylkiem goni,
Ani w Wiśle szczupakowi
Gdy się gdzieś o brzankach dowie.
ŚWIĘTY FRANCISZEK:
Przestań gadać sprośności
Nieczysty Lajkoniu,
Bo gdy nie przestaniesz,
To zawołam matkę - Wisłę
By zatopiła twoje
Zwierzynieckie włości
(woła)
Hej, Wisło, matko Wisło!

A wtedy od ulicy Grodzkiej
Od Wawelu, od Kazimierza miasta
Nadchodzi smukła niewiasta
W niebieskiej jedwabnej sukni
W rękach trzyma dwie putnie
Pełne wody,
W których pływa twór wszelaki
Ryby i raki.

WISŁA:
Rozkaż tylko mój Ojcze
A chlusnę w Zwierzyniec
Aż się utopi ten niec-
ny pohaniec
CHÓR PRZEKUPEK:
(lamentując)
Ojcze Święty nie pozwól
Aby Wisła nas zalała
Jakżeby przekupka
W małym Rynku
Jarzyny sprzedawała
CHÓR FJAKRÓW:
Święty Franciszku, kochany braciszku,
Gdy nas Wisła zaleje
To gdzie się biedny fjakier
Ze swą szkapą podzieje...
CHÓR STUDENTÓW
Jak się Wisła rozleje bez końca,
Nie puści nas na majówkę do Tyńca...
ŚW. FRANCISZEK:
Uspokójcie się moi ludzie mili,
Nic wam nie grozi w tej pogodnej chwili
Ty, Wisło, ze swemi rybami
Płyń równo z brzegami,
Ty Lajkoniku,
Żartowniku
Zabaw się grzecznie u ludzi,
Żeby się szatan nie zbudził,
A wy, rybki, ptaki i kwiaty
Żyjcie szczęśliwie
W wodzie, niebie i niwie

(Święty wraca do kościoła
Za nim procesja mnichów
Z gromnicami.
Wielkie drzwi kościoła
Zamykają się za nimi
Zwolna).
Muzyka gra, — tańce,
Śpiewy,
Lajkonik hasa
A nad miastem krążą
Samoloty aniołów
O białych skrzydłach
I wiążą
W chmur sidłach.
Które płyną ku słońcu
Jak w tańcu
A z niemi
Anielica Poezja
Wszystkich biednych
Przyjaciółka,

Zdzisław Broncel

# Nie chcę umrzeć

„Nie chcę umrzeć. Za dużo jest ptaków, których śpiewu nie znam, a poznanie nieznanych mi głosów wymaga dużo, dużo czasu.

Pozostaje mi do życia zaledwie lat dwadzieścia. Mam lat 39, kiedy zaczynam pisać tę historję walki ludzi ze śmiercią, a już eksperci towarzystw ubezpieczeniowych, oceniając mnie na zasadzie przyjętych praw i obliczeń mówią, że przeciętny Amerykanin żyje mniejwięcej 59 lat!“



Semmelweis, dobroczyńca matek.

Tak rozpoczyna głośny reporter naukowy, Paweł de Kruif, swoją nową książkę *) o zdobyczach nauki. Możemy mu pozazdrościć amerykańskiej przeciętnej wieku ludzkiego — dla nas wypada ona gorzej i zapewne prędzej ugodzi nas swą strzałą mistrzowski łucznik śmierci. Tem rychlej powinniśmy się wczytać w karty książki, mówiącej o najbardziej beznadziejnej, najzuchwalszej i najtragiczniejszej walce, jaką prowadzi człowiek. O walce ze śmiercią.

W uniwersyteckich pracowniach, w niezliczonych laboratorjach całego świata, na naukowych ekspedycjach prowadzona jest nieustanna bitwa. Padają w niej ofiary. Tak jak stawia się pomnik nieznanemu żołnierzowi, możnaby uczcić płytą grobową nieznanego lekarza i badacza. Dziś laik pamięta może zaledwie jedno nazwisko spośród wymienionych w opowieściach de Kruifa, choć są to nazwiska największe, a trzeba sobie uprzytomnić, że sława prawie każdego z nich została okupiona śmiercią poprzedników na posterunku.

Wiemy, kiedy nadchodzi czas wojen politycznych i czas zada-



Minot — zbawca chorych na złośliwą anemję.
(Odkrycie diety wątrobianej).

wanych przez nie śmiertelnych ciosów; nie wiemy o tych zgonach, które znaczą front walki ze śmiercią. Im kto śmielszy, tem prędzej pada, im kto zaś bardziej wyzywa niebezpieczeństwo, tem prędzej może wydrzeć jego tajemnicę. Badacze walczący ze śmiercią podjęli walkę niemal z samem przeznaczeniem. Dobrowolnie wchodzą w linję obstrzału, rozmyślnie wystawiają się na cel, ażeby poznać broń, jaką godzi w nas śmierć. Zażywają truciznę mikrobów, przeprowadzają eksperymenty na ludziach, idą sami w pierwszym szeregu i wzywają szereg następny, aby postawił swoje życie na kartę dającą dziesięć szans dobrych na dziewięćdziesiąt złych, byleby sprawdzić, czy dość mocny jest nowy pancerz przeciw strzałom śmierci.

Temat, jaki sobie obrał de Kruif jest szlachetnym tematem reportażu. Jest to aktualność, która zyskuje trwałość przez promieniujący z niej heroizm. Jak literatura renensansowa widziała swoje zadanie w utrwaleniu sławy wielkich czynów i wielkich ludzi, tak reportaż może sięgnąć do wyższych zadań i tu spełnić właściwą rolę, nadać wielkość swojej pracy odtwórczej przez wielkość tematu.

Temat de Kruifa jest ogólnoludzki i bohaterski. Walka ze śmiercią jest najważniejszem zadaniem ludzkiem i wynika bynajmniej nie z tchórzostwa, ale z pragnienia działania i tworzenia. Należy odróżnić trwogę przed śmiercią i trwogę o życie. Lęk przed śmiercią nie idzie w parze z odwagą i poświęceniem, ale pełne ma prawo lękać się o swoje życie człowiek, stojący w połowie pracy nad doniosłem zadaniem. Samo życie jest głównym warunkiem osiągnięcia trudnych celów, tak, jak przenoszenie wartości honoru i idei nad wartość życia jest warunkiem bohaterstwa. Jesteśmy w prawie żądać dłuższego życia dla jednostki takiej, jak Curie - Skłodowska, mamy obowiązek pracy nad przedłużaniem życia, bo życie jest tym jedynym terenem, na którym możemy zaznaczyć swą godność ludzką, jest jedynym okresem, w którym dajemy próbę swej duszy.

Są dwa rodzaje śmierci: śmierć marnotrawna i śmierć, posiadająca wartość sama przez się. Jeżeli dziecko umiera zdławione przez dyfteryt, jeżeli pada człowiek w pełni sił, wyssany i zniszczony przez cukrzycę, to jest to klęska życia. Inne znaczenie ma śmierć poniesiona dla idei, śmierć misjonarza, śmierć żołnierza i śmierć badacza. W imię służby narodowi i ludzkości, obowiązuje nas walka ze śmiercią bezsensowną. Niechaj człowiekowi nie będzie wolno umierać w łóżku — nasze największe bogactwo — życie, zachowajmy dla wolnego rozporządzenia i oddajmy je wtedy, gdy będziemy mieli świadomość, że kupujemy za nie coś stokroć droższego i ważniejszego niż nasze własne istnienie. Ażeby móc kiedyś ponieść taki zgon, brońmy się przed wyzyskiem ze strony śmierci, zabijającej matkę przy narodzinach dziecka, a młodzieńca oplątującej gruźlicą wtedy, gdy już może stać się pożytecznym dla społeczeństwa.

W książce de Kruifa idzie o walkę z tym rodzajem śmierci. Śmierć sama przez się nie jest postrachem dla Semmelweisa, Bantinga, Minota, Spencera, Mc. Coy'a, Schaudinna, Bordeta, Finsena i legjonu innych. Gotowi są ryzykować życie skoro otrzymują rezultaty takie, jak Banting. Wypadek Bantinga jest wspaniałem świadectwem dla zmagań nauki ze śmiercią. Oto Banting wynalazł insulinę, ratującą przed nieuleczalną dotychczas cukrzycą. Insulina ocala życie dr. Minot, a Minot skolei odkrywa niezawodny środek na śmiertelną dotychczas w stu procentach anemję złośliwą.

Paweł de Kruif pisze prolog do swego dzieła „Men against death“ w r. 1929, w chwili, kiedy spośród 100.000 urodzonych razem z nim w marcu 1890 r. już trzydzieści tysięcy zmarło. Linja życia na wykresie obniża się po przekroczeniu 40 lat życia. Ta kreska będąca geometrycznem zanotowaniem wyroku Przeznaczenia prowadzi zgóry na dół, zaczyna się w momencie narodzin, a kończy wówczas, gdy już z tych 100.000 ani jeden człowiek nie pozostanie na świecie. Zaledwie przyjdziemy na świat, linja życia gwałtownie spada w dół — wielu umiera jeszcze w niemowlęctwie, później bieg linji jest łagodny, ale po przekroczeniu 40 lat strzały łuczników śmierci stają się coraz gęściejsze i celniejsze, linja pochyla się stromo i z każdym rokiem rośnie szansa na zgon, a



Francis — jeden z najodważniejszych bakterjologów amerykańskich (pracuje stale bez zabezpieczenia).

maleje nadzieja oglądania następnego Nowego Roku. Wykres Karola Pearsona jest nieubłagany i gotów każdego dnia przypominać co nas czeka.

Nad zmianą tego wykresu pracuje nauka. W r. 1925 w Ameryce osiągnięto przeciętną życia w wysokości 60,4 lat. Przez ostatnie 75 lat, od roku 1850 posunięto się zaledwie o cztery dziesiąte roku, o cztery miesiące i dwadzieścia cztery dni. Jest to jednak tylko jeden odcinek walki. Nie idzie jedynie o długość wieku ludzkiego, ale także o powszechną możliwość osiągnięcia tej granicy. Przed odkryciem Pasteura człowiek zarażony wścieklizną był skazany na śmierć. Przed odkryciem zmarłego niedawno dr. Roux i Behringa, dyfteryt był grabarzem dzieci, zanim Minot zwalczył złośliwą anemję diagnoza tej choroby była wyrokiem śmierci dla chorego, przed rokiem 1921 człowiek dotknięty cukrzycą mógł obliczyć, ile mu jeszcze pozostaje lat powolnego konania.

Walka ze śmiercią musi być przeprowadzana wszędzie. Od warunków gospodarczych, od higjeny, od organizacji społeczeństwa zależy jej powodzenie, w laboratorjach powstają tylko osłony, jakby ochronne maski gazowe przed trupim czadem. Na froncie nauki wyrabiają tylko broń.

De Kruif pisze swoje sprawozdanie wojenne wyłącznie z frontu nauki. Z pierwszej linji, z awangardy. Jest pełen optymizmu, bo donosi o ofiarach, ale nigdy o klęskach, głosi zasadnicze zwycięstwa i tylko do entuzjazmu i optymizmu dołącza się ton hołdu dla śmiałych badaczy, płacących życiem za zdobycie surowicy, czy odnalezienie zarazka.

Jednak de Kruif żąda więcej, stawia śmielsze pytanie. Cóż z tego, że zwyciężamy poszczególne kohorty śmierci, panujemy nad dyfterytem, tyfusem, anemją, cukrzycą, gorączką popołogową, że prawie pokonaliśmy gruźlicę i syfilis, kiedy śmierć jest niezwyciężona. Dla wielu potrafimy już odwlec jej nadejście, ale na pewnej granicy nasze środki wyczerpują się ,ratujemy młodych i dojrzałych, nie możemy jednak uratować starców. Nasz front jest coraz szerszy, bronimy coraz więcej ludzi, lecz linja frontu posunęła się naprzód zaledwie o cztery dziesiąte roku. Nieliczni są ci, którzy dochodzą wieku biblijnego, obliczanego na cztery razy po dwadzieścia i dziesięć lat.

Czy materja życia jest nieśmiertelna? Wydaje się ,że tak— opowiada de Kruif. Przed 22 laty Alexis Carrell zrobił doświadczenie z odrobiną mięśnia sercowego kurczęcia; cząsteczka ta została wycięta z organizmu kurczęcia i hodowana laboratoryjnie w pożywnym buljonie. Dzień za dniem, miesiąc za miesiącem Carrell i i jego asystent Ebeling pielęgnują ten skrawek mięśnia sercowego. W miejsce starych komórek narastają nowe, potencjalnie nieśmiertelne. Carrell utrzymuje wycinek mięśnia sercowego dziesięć razy dłużej, niż wynosi wiek kury. Mógłby ten drobiazg żyć i drugie razy tyle, gdyby ludziom chciało się go nadal hodować. To pozwala de Kruifowi zapomnieć o stromym stoku wykresu Pearsona i wierzyć w przyszłość. Ten groteskowy eksperyment budzi w nim nadzieję, że kiedyś znajdziemy środek, aby powstrzymać, lub złagodzić zmęczenie ludzkiego mięśnia sercowego. Śmierć jest losem złożonych organizmów, w których różne tkanki i komórki pozostają w wzajemnej zależności, ale skoro trwa sama materja życia, możemy sobie powiedzieć, że walka ze śmiercią posiada jakąś desperacką nadzieję.

Są pesymiści, zakreślający wąską granicę ludzkiemu życiu. De Kruif nie stoi po ich stronie. Cytuje ich, jako przeciwwagę wobec zbytniego entuzjazmu innych, czujemy jednak, że rozpoczyna swój opis poszczególnych odkryć medycyny z prawdziwą wiarą w naukę.

Książka de Kruifa dzieli się na trzy części. W pierwszej zatytułowanej „Trzej lekarze“ opowiada o dobroczyńcy matek Semmelweisie, o Bantingu i o Minot. W drugiej pisze o chorobach właściwych głównie Ameryce i o bohaterstwie amerykańskiej służby zdrowia. Część trzecia, pogodna i ufna, opowiada o triumfach fizykoterapji, o dobrodziejstwach słońca, o wynalazcy lampy kwarcowej, Finsenie, o zbawcy gruźlików — dr. Rollier, a także o Schaudinnie, Bordet, o genjalnym Wagner - Jaureggu, który pierwszy zaczął leczyć gorączką paraliż postępowy.

Z wyjątkiem Finsena, Schaudinna i Semmelweisa, zmarłych, de Kruif odwiedził każdego z lekarzy, o których pisze. Dzięki temu zamiast popularnego streszczenia historji medycyny współczesnej powstał pasjonujący reportaż. De Kruif mówi nie o t w i e r d z e n i a c h, ale o z d a r z e n i a c h. Wysiłki Bantinga odżyły nanowo, karjerę Minota śledziły etap za etapem, tragiczne zgony badaczy, pracujących nad chorobą papuzią, opowiadane ze czcią i współczuciem. De Kruff zbliża przedewszystkiem do ludzi, a potem dopiero do ich odkryć.

Wynika z tego sens moralny książki. De Kruif nie opuści nigdy sposobności zaznaczenia, jakim to dyspozycjom psychicznym badacza, czy lekarza należy zawdzięczać dokonanie odkrycia i jakie cechy charakteru zdecydo-



Banting, zwycięzca cukrzycy (1921 r. — odkrycie insuliny)

wały o podjęciu przez nich trudnej i niebezpiecznej pracy. Przez cały czas znajdujemy wypisane, jak na sztandarze, dwie właściwości tych ludzi: miłość bliźniego i wytrwałość.

Semmelweis, lekarz węgierski, otwierający poczet biografji de Kruifa, jest czołowym przykładem. Pracował w wiedeńskiej klinice położniczej, gdzie na sto porodów przypadało trzydzieści śmiertelnych zapadnięć na gorączkę popołogową. Obojętny dyrektor kliniki dr. Klein przechodził nad tem do porządku dziennego, Semmelweis, któremu wszystkie kobiety świata winnyby wystawić pomnik, nie mógł nie cierpieć razem z matkami, osierocającemi pięciodniowe maleństwa. Czuł się odpowiedzialny za każdy zgon. Dzięki tej wrażliwości na nieszczęście i dzięki żądzy prawdy, odkrył, że lekarze są zabójcami matek. Nieodkażone ręce lekarza zabijają matkę.

Dziś dziwimy się temu odkryciu, nie przypuszczamy, ażeby dezynfekcja rąk i narzędzi była sprawą, o którą trzeba było stoczyć walkę zapłaconą przez Semmelweisa zchwichnięciem całego życia. Zapominamy, że pierwsza operacja antyseptyczna odbyła się dopiero w 1865 r.!

Książka zaś de Kruifa opowiada o sprawach niedawnych. Aktualność jej jest niekiedy wstrząsająca. Rozdział o odkryciu insuliny pisał de Kruif, myśląc o tem, że gdyby Banting cztery lata wcześniej dokonał swego epokowego w medycynie odkrycia, ojciec de Kruifa zostałby ocalony. Ta myśl będzie też towarzyszyć wszystkim, którzy znali zmarłych na cukrzycę przed datą wynalezienia insuliny, przed 1921 r. Ci zaś, którzy pomyślą o obecnie chorych na cukrzycę, powinni zrozumieć, że życie tych ludzi zależne jest od pracy warszawskiego Instytutu Higjeny, wyrabiającego insulinę i że tajemnicę tego środka poznano zaledwie przed trzynastu laty.

Tu widać, jak wydarzenia opowiedziane przez de Kruifa mogą nas blisko obchodzić. Przy czytaniu tej książki, ma się wrażenie, że odbywamy sąd nad grożącem nam niebezpieczeństwem śmierci i nad nadzieją życia. Prawdopodobnie wielu będzie mogło pomyśleć: Oto już nie żyłbym, gdyby nie ta właśnie zdobycz wiedzy.

De Kruif zdobył u nas sławę „Łowcami mikrobów“, uznanymi w ankiecie „ABC“ za najpoczytniejszą książkę w 1932 r. Nie trzeba też do jego nowego dzieła zachęcać czytelnika, tembardziej, że doniosłość tematu pokrywa wszystkie drobne braki opracowania, jak zbytnie związanie ze środowiskiem medycyny amerykańskiej, niekiedy przeładowanie materjałem i powtarzanie tych samych sposobów ujęcia.

---

*) PAWEŁ DE KRUIF: **Walka nauki ze śmiercią.** Przekład Pauli Lamowej i dr. Zbigniewa Grabowskiego. Str. 386. Bibljoteka Wiedzy. Tom 11. Trzaska, Evert i Michalski. S. A. Warszawa, 1934 r.

Paweł de Kruif, zamerykanizowany Holender, jest autorem „Łowców mikrobów“, książki popularyzującej badanie nad światem mikrobów. Obecnie wydana „Walka nauki ze śmiercią“ nosi w oryginale tytuł „Men against death“ i składa się z szeregu biografij i reportaży naukowych ogłaszanych w czasopismach: „The country Gentleman“, „The Ladies home journal“ i „Forum“.

# Tydzień książki

**BEATA MARJA: Eksperymenty psychiczne.** Zdarzenia prawdziwe. 8° str. 66. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.—.

**BOEHM WITOLD: Zwalczanie starzenia się.** Jak osiągnąć wiosnę urody do późnej starości. 8° str. 205, 24 strony rycin. Kraków 1934. „Rój“ Warszawa. Zł. 3.—.

**BORNHOLTZ T.: Historja dla kl. II gimn.** 73 ilustr. w tekście, 5 tablic ilustr. i 7 map poza tekstem, 8° str. 232. Warszawa, Gebethner i Wolff. Zł. 2.60.

**GOLDBERGER ST.: Liga Narodów i 18 artykuł jej paktu.** Szczegółowy rozbiór i nowy sposób interpretacji. 8° str. 24. Kraków 1934. Dom Książki Pol. Zł. 0.80.

**GRABSKI ST.: Trzeba szukać drogi wyjścia.** 8° str. 153. Lwów 1934. B. Połoniecki. Zł. 3.—.

**Historja sztuki. HAMAN R.** — Dzieje sztuki od epoki starochrześcijańskiej od czasów obecnych. Tłum. M. Wallis. Walicki M. i Starzyński J. — Dzieje sztuki polskiej. Z III 151 ilustr. w tekście, 3 wkładki jednobarwne. 8° str. od 257—352. Warszawa 1934. M. Arct. Zł. 4.—.

**HŁAWICZKA KAROL: Nauczanie śpiewu w szkole powszechnej.** Podręcznik metodyczny, dostosowany do nowego programu. 8° str. 199. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 4.50.

**MAKOWSKI W.: Uniwersyteckie studjum prawnicze.** 8° str. 40. Warszawa 1934. Bibljoteka Polska. Zł. 1.—.

**MIHUŁOWICZ J.: Algebra dla kl. II gimn.** 8° str. 112. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 1.10.

**ORACZ A.: Rocznice, odczyty, przemówienia, obrazki sceniczne i wybór poezji i pieśni okolicznościowych.** Wyd. 3-cie. 8° str. 253. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 4.90.

**OSIŃSKA JANINA: Na Jamboree.** Z ryc. 8° str. 71. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 0.90.

**PAWŁOWSKI Z.: Przewodnik turystyczny po Kopenhadze, północnej Zelandji i Bornholmie** z 3 mapkami. 8° str. 112. Poznań 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.—.

**PIETER J. DR.: Nowe sposoby egzaminowania.** Test wiadomości, jego założenia, konstrukcja i stosowanie. 8° IV str. 162 4 nlb. Kraków 1934. Książnica-Atlas. Zł. 3.50.

**Podatek przemysłowy.** Zmiany i uzupełnienia ustawodawstwa i orzecznictwa, dotyczącego Państwowego Podatku Przemysłowego, ogłoszone w latach 1929 — 1933 w opracowaniu **S. KAUZIKA**. 8° str. VIII, 447. Warszawa 1934. F. Hösick. Opr. Zł. 12.50.

**PONIATOWSKI J.: Meteorologja gospodarcza.** 8° str. 45. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.50.

**Prace z zakresu polityki zbożowej w Polsce.** 8° str. 397. Poznań 1934. Księg. Rolnicza. Zł. 5.—.

**Prawo o wierzytelnościach w walutach zagranicznych.** Tekst z komentarzem opracował **B. ASKIN.** 16° X i str. 52. Warszawa 1934. Księgarnia Prawnicza. Zł. 1.50.

**Rocznik Wołyński**, t. III pod redakcją **J. HOFFMANA.** 8° str. VI. 678 z 99 ryc. XII tabl. i mapą woj. wołyń. Równe 1934. Dom Książki Polskiej. Warsz. Zł. 20.—.

**RUSIECKI A. M. i ZARZECKI A.: Arytmetyka.** Podręcznik dla uczniów szkoły powsz. kl. III. 8° str. 120. Poznań 1934. Księg. Św. Wojciecha. Zł. 0.90.

**SONDEL J. K.** dr. inż.: **Gospodarstwo włościańskie a kapitalizm,** z przedmową prof. dr. A. Krzyżanowskiego. 8° str. VIII, 172. Lwów 1934. Książnica-Atlas.

**SPIKOWSKI W.** ks. dr.: **W Krzyżu zbawienie.** Rozważania o drodze, jaką dusza powraca do Boga. 8° str. 102. Poznań 1934. Księgarnia Św. Wojciecha. Zł. 1.50.

**SZEWCZYKOWSKI J. dr.: Higjena zaprawy sportowej i pomoc doraźna w sporcie** z 46 rys. 8° str. 68. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 1.70.

**Teksty źródłowe do dziejów Łodzi 1332 — 1820,** wybrał i opracował **A. STEBELSKI.** 8° str. 46. Łódź 1934. S. Seipelt. Zł. 1.—.

**TRYLSKI Z. inż.: Mały podręcznik obozowania.** Wyd. 2-gie poprawione z rys. 8° str. 64. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 1.50.

**WIERZBIŃSKI M.: Awantura panny Zoni.** Powieść. 8° str. 310. Warszawa 1934. S. Cukrowski. Zł. 6.—.